

135  
~~422~~ / KAL

Antoni Kaliszewicz (ps. "Skromny"  
por. AK, d-ca placówki Bożki "Buzza", Bug  
obwód Bielsk Podlaski "Tygrys")

ARCHIWUM Wschodnie

260

Jako sierżant zawodowy saperów uczestniczyłem w obronie twierdzy w Brześciu<sup>n</sup>/B, a następnie w ostatniej bitwie września pod Kockiem. Nie służyłem broni, lecz sugerując się wcześniejszymi doniesieniami o tworzącej się w okolicach Czerwonego Bagna za Białą partyzantką uzbrojony i w mundurze korzystając z ofiarowanego mi roweru podjąłem podróż do Czerwonego Bagna.

Jechałem wyłącznie bocznymi drogami aby uniknąć spotkania z Niemcami. Ciężka to była podróż gdyż noce październikowe były chłodne, a nocowałem pod gołym niebem. Sytuacja się pogorszyła gdy dotarłem na Podlasie, gdyż miejscowi Białorusini rozbierali polekich żołnierzy, zabierali umundurowanie, a były nawet wypadki mordu. Zatrzymywałem się przeważnie w mająteczkach, gdzie opowiadano mi jak postępowają z żołnierzami Białorusini i proponowano mi cywilne ubranie, na które nie mogłem się zgodzić, gdyż składałem przysięgę wojskową, a pozatym idę walczyć w partyzantce. Najtrudniejsze było przejście szosy Lublin - Białystok między Wiercieniem a Dziadkowicami sawalowej kolumnami wojsk sowieckich. Po drodze spotykałem żołnierzy różnych broni podobnie jak ja poszukujących oddziałów partyzantkich, których nie było. Udałem się więc w swoje strony do kładki z miejscem postoju na cmentarzu.

...Po kilku dniach przyszli do mnie na cmentarz Ala Parzonkówna i Evgmunt Mankowski, których matka prosiła by skłenili mnie abym zamieszkał w domu. I to im się udało. Nocą wróciłem do domu, zakonserwowałem karabin i wraz z nabojami schowałem w drewni.

Przez ścianę ze mną mieszkał emigrant z Francji Kazimierz Parzonka, o którym mówiono, że współpracuje z sowietami. Na drugi dzień przychodzi do mnie ten emigrant i mówi: "wiem co o mnie mówią, ale ty nie bój się mnie, możesz spać spokojnie, ja ciebie nie wydać. I słowa dotrzymał."

Wieczorem 10. listopada w wigilię Niepodległości grałem w karty u sąsiada, gdy matka zastukała w ścianę, wołając żebym przyszedł. W sieni spotkałem wystraszoną siostrę mówiącą, że przyszli sowieci. Szybko wrzuciłem pistolet do jej fartucha, a sam wyszedłem z sieni spotykając "bojca", który szedł za siostrą. Zaprowadzono mnie na wesołownię do majątku hr. Potockiego, a następnie do sztabu mieszczącego się w nowym pałacu. Widać było, że jest ostre pogotowie, wszyscy uzbrojeni po zęby.

Zaczęła się rozmowa, trochę po rosyjsku, trochę po polsku. Powiedzieli mi, że jestem "ich" człowiekiem, gdyż nie mam ziemi ani domu a mimo to nie chcę im nic powiedzieć. Odpowiedziałem, że nic nie wiem. Powiedzieli mi, że wszystko ich interesuje i że nie wypuszczą mnie dopóki nie zobowiążę się donosić kto ich nie lubi.

Rozgniewany mówię, że przecież wszyscy będą wiedzieli, że do was zachodzę. Ależ ty "durak" mówią. Masz dwie siostry i do nich zajdzie bojce, a ty mi powiesz co nas interesuje.

Żądano też ode mnie oddania karabinu, z którym wróciłem z wojny. Nie mam żadnego karabinu, powiedziałem, wróciłem do domu bez broni. Zamknięto więc mnie w nieopalanym pomieszczeniu, tak małym, że nie można się było położyć. Po trzech dniach przemarsznięty brudny i zaróżniony wróciłem do domu.

Po dwu tygodniach podjechała pod dom czarna wołga i wysiadł z niej pułkownik z olbrzymią gwiazdką na rękawie - komisarz. Wszedł do mieszkania i pyta: "wy <sup>Aydon</sup> ~~bojca~~?" Ja. Tak więc oddaj karabin. Mówię, że nie mam. Na to pójdziesz ze mną.

Zetrzymał się przed wołgą i mówi: "oddaj karabin, bo jak nie to pięć lat więzienia". Jak mam go oddać skoro nie mam? Wtedy błyskawicznie wyciągnął nagant i przyłożył go do mojej piersi.

Wtem poza nami rozległ się przeraźliwy krzyk mojej matki. Pułkownik nie mówiąc schował pistolet do kabury wsiadł w samochód i odjechał.

W połowie grudnia 1939 roku nad ranem zastukała do naszego okna żona "predsiedatiela" /odpowiednik wójta" Zosia Piech



Uciekaj! zaraz po ciebie przyjdą!

Szybko się ubrałem i wyskoczyłem za stodołę słysząc nadjeżdżający Samochód.

Tej samej nocy wywieziono do Rosji Jana Twarowskiego, byłego komendanta strzelców. Tymczasem okrężną drogą, omijając waie, gdzie pełno było sowieckiego wojska, udałem się do Bielska Podlaskiego.

Po czternastogodzinnej uciążliwej wędrówce dotarłem na ul. Widowską do swego przyjaciela Olka Matianki. Po krótkim odpoczynku bocznymi uliczkami przemknąłem na dworzec kolejowy, gdzie Olek kupił mi bilet do Brześcia <sup>n</sup>/B, a ja schowałem się w sąsiednich zabudowaniach. Z chwilą nadejścia pociągu wskoczyłem do niego od przeciwnej strony peronu. Tu spotkałem kilku znajomych z Brześcia, m.in. Wincentym Wdowiszewskim późniejszym naczelnym architektem miasta Wrocławia. Jak dowiedziałem się później poszukiwania NKWD za mną długi czas nie ustawały.

W Brześciu często zmieniałem miejsce swego pobytu, przeważnie przebywałem z "bieżeńcami" /uciekinierami/, oczekującymi na powrót za Bug, w swoje rodzinne strony. Poprzez licznych znajomych z okresu służby w 6 Baonie saperów wciągnięty zostałem w wir prac konspiracyjnych SZP. Z polecenia inż. arch W. Wdowiszewskiego miałem zaraz po świętach Bożego Narodzenia przepłynąć się przez Bug i dostarczyć do Białej Podlaskiej meldunki konspiracyjne.

Wigilię świąt spędzałem u państwa Frankwowskich. W czasie kolacji ogarnął mnie taki smutek i rezygnacja, że mimo sprzeciwu gospodarzy postanowiłem tej jeszcze nocy przepłynąć się przez Bug. Po rzece płynęła kora, jednak tak duża, że dość swobodnie przeskakując z jednej na drugą osiągnąłem przeciwległy brzeg.

Bez przeszkód dotarłem do adresata w Białej Podlaskiej, który okazał się żywym. Trafikiem do innego świata. Gospodarze byli upojeni, gościnni.

W początkach stycznia 1940 roku nastąpiły silne mrozy. Bug stanął. Poradzono mi abym przekraczałem Bug w Terespolu, gdzie granica jest mniej strzeżona. W Terespolu spotkałem znajomych. Zaskoczyło mnie

ich zdziwienie i radość. W odpowiedzi zaprowadzono mnie na cmentarz gdzie wśród mogił żołnierskich z września 39 r. była i taka z tabliczką: "śp. Antoszka z 6 Baonu Saperów".

Okazało się, że widziano mnie w ostatniej grupie żołnierzy wychodzącej z twierdzy. Grupa ta została ostrzelana, a jeden ze zmasakrowanych trupów był tak podobny do mnie, że byli pewni komu spełniają ostatnią posługę.

Do przejścia przez granicę dołączyła do mnie żona sierż. Kabata, magazyniera 6 Baonu Saperów. Po dojściu do Bągu zauważyłem, że na środku rzeki stoją Niemcy i sowieci rozmawiając ze sobą. Mroz siarczysty, śnieg skrzypi, ruszyć się nie można. Postanowiliśmy czekać, ale najgorzej, że nogi marzną. Po rozejściu się żołnierzy szybko przeprawiliśmy się na drugi brzeg. W znajomym domu na przedmieściu podjęto próbę ratowania moich zmarzniętych jak sopel lodu stóp. Szczęściem obyło się bez większych komplikacji, ale przez dłuższy czas miałem trudności w poruszaniu się. Nie mogłem już chodzić za granicę. Włączyłem się w nurt pracy konspiracyjnej na miejscu. I tak dotrwałem wiosną lecząc swoje odmrożone stopy.

Wiosną 1940 roku wróciłem w swoje rodzinne strony, Nie mogłem jednak zamieszkać u rodziców, gdyż wciąż byłem poszukiwany przez sowieckie władze bezpieczeństwa.

Przydał się teraz mój rysztańnek żołnierski, który po powrocie z wojny dałem na przechowanie Zosi Borysiewicz. Umundurowany i uzbrojony poszedłem do lasu. NKWD i szpicle z Rudki wiedzieli, że jestem na tym terenie. NKWD wymykałem się, a dla szpicli byłem za dobrze uzbrojony aby mogli mnie schwytać. Nocowałem coraz to w innym miejscu, a żywikem po wsiach gdzie nie było szpicli. Były to wsie szlacheckie, jak Niemyje-Ząbki, -Skłody, -Siudy, -Jarmonty Koce-Basie, -Radziszewo, w których było się pewnym że nikt nie wyda. Najczęstrzym moim schronieniem była kolonia Piotra Olszewskiego pod Winną. Tam miałem cywilne ubranie, w które często się przebierałem.



Wkrótce nawiązałem kontakt z komendantem SZP kpt. Nierczyńskim ps. "Bystry" w Antoninie. Zostałem przydzielony do Tadeusza Prażmo ps. "Wiński", późniejszego II-go z-cy komendanta Obwodu Bielsk Podl. "Tygrys" z przeznaczeniem do zadań specjalnych.

Byliśmy obecni w całym ówczesnym powiecie bielskim kierując rozpoznaniem sowieckiej służby bezpieczeństwa, ochroną i przetrzuceniem obywateli, nasłuchem radiowym i kolportażem informacji, gromadzeniem i zabezpieczaniem broni i sprzętu wojskowego.

Początkowo nasz kontakt z Warszawą utrzymywany był za pośrednictwem przemytników. Postanowiliśmy jednak wprowadzić na trasę własnego kuriera. Los padł na mnie. Chodziłem do Warszawy kilka razy, aż do czasu gdy szczęśliwa gwiazda mnie opuściła.

Jesienią 1940 roku przechodząc granicę pod Zarębami Kościelnymi zostałem zatrzymany przez sowiecką straż graniczną.

Zaprowadzono mnie na "zastawę" i tam zaczęło się przesłuchanie.

Kazano mi rozebrać się do naga, przeprowadzając szczegółową rewizję. Wychodząc w drogę od pp. Ciecierów na kol. Wydzibory babcia Ciecierowa zawiesiła mi na szyji medalik i kruszynę chleba świętojeńskiego. Stały się one przyczyną wulgarnych szyderstw i wyzwisk badających mnie sowieckich oficerów, niegodnych powtórzenia.

Aby ustrzec rodzinę przed ewentualnymi szyskanami podałem zmyślane nazwisko Kalisz, co jednak nie uchroniło ich /matki i sióstr/ przed wywiezieniem na Syberię.

Z "zastawy" przewieziono mnie do aresztu w Szepietowie. Był to mały, drewniany budynek mieszczący się przy torach kolejowych odległy od stacji. Składały się nań dwa małe pomieszczenia z oddzielną seperatką, gdzie przetrzymywana była wówczas młoda żydóweczka. Ścianki były przepełnione, panował w nich okropny brud i zaduch od nieumytych ciak. Było to siedlisko pcheł i pluskiew. Codziennie dostarczano nowych ludzi szapanych na granicy. Pewnego razu przywieziono angielskiego lotnika i posadzono z nami. Przez tę ~~ta~~ noc jaką spędziłem z nami opadły go pchły i pluskwy zapewne z całego aresztu bo ran-

nie mógł przejrzeć na oczy, tak go zrabowały. Osobiscie smarowałem się naftą z kopciżki. Pchły nie gryzły, ale całą noc kaziły po ciele. Rano gdy odkryło się klapy marynarki, to był tam sznur pcheł grubości palca.

Pobyt aresztanta w Szepietowie był zazwyczaj krótki, gdyż dwa razy w tygodniu przewożono aresztantów do więzienia w Białymstoku. Transporty szły, a mnie i kilku innych nie wywożono. Byłem już starszym celi. Przez areszt przewinęło się wielu znajomych jak Paweł Tokarski, ze wsi Koce Szaby, Antoni Sierota, gdzieś od Drohiczyzna, Okłota z okolic Nurca. Zacząłem rozmawiać na temat ucieczki z aresztu lub też w czasie transportu. Podskubał naszą rozmowę jeden z Żydów i po wywiezieniu go do Białegostoku doniósł, że starszy celi w Szepietowie organizuje ucieczkę.

Wieczorem wpadli do celi bojcy i wywlekli mnie na korytarz, kazali założyć ręce do tyłu, zakuli w kajdanki i wrzucili do separatki, wyprowadzając żydóweczkę do wykonanego właśnie w mieście więzienia. W separacie jeszcze więcej było pcheł niż w naszych pomieszczeniach, czy też mogły sobie swobodnie hulać po moim ciele, gdyż niebezpieczne ręce zakute były w kajdanki. Przekiwno mnie na przód tylko do jedzenia, abym skutymi rękami mógł utrzymać miskę z odrobina gotowanego żyta pływającego w wodzie. Po wypiciu tego obiadu zakuwano znowu ręce do tyłu.

Trzeciego dnia wrzucono do mej separatki takiego jak i ja aresztanta. Był to Olek Szyszko z Sarnak, zawodowy złodziej o bardzo ambitnym złodziejским honorze...

...Ucieczyłem się bardzo, <sup>mniej</sup> przecieś o połowę pluskiew i pcheł będzie spijało mą bohaterską krew.

Patrzę, a tu po wyjściu bojców z separatki Olek paraduje po niej z wolnymi rękami. Woła mnie do kąta by i mnie rozkuć. Spryciaś, z więziennym wykształceniem. W wiadomy sobie sposób ukrył agrafkę i rzy jej pomocy uwolnił nas obu. Miałem otartą skórę na rękach. Teraz było już dobrze, można też było i pchły poganiać. Kajdanki



typu zaciskowego zakładaliśmy przed jedzeniem, aby strażnik mógł nas przekuć do przodu.

Przyjechał nareszcie dzień wyjazdu do Białegostoku. Zdjęto nam kajdanki i razem z innymi ładowano do samochodu. Pierwszy siedział oparty o tylną burtę plecami, a następny między jego nogi i tak aż do budy szoferki. Utworzyliśmy kilka rzędów, twarzami zwróceni do przodu. Na budzie szoferki usadowili się dwaj bojcy, oficer ułokował się w szoferce. Zdawało się, że z naszych planów o ucieczce pozostało tylko marzenie. Każdy z nas planujących ucieczkę był umieszczony gdzieś indziej, a nie przy kabinie szofera, na której siedzieli bojcy z karabinami. Ja byłem oparty o tylną klapę zamykającą skrzynię samochodu. Gdy wjechaliśmy do lasu zacząłem powoli podciągać nogi do piersi. Kłapa była dość niska, więc po podciągnięciu nóg odbiłem się od podłogi i znalazłem się poza burtą. Wtuliłem głowę w ramiona a pęd powietrza pociągnął mnie za samochodem. Zanim kierowca zatrzymał samochód ja byłem już za rowem i zryskiem zacząłem uciekać w stronę lasu, który nieoczekiwanie się skończył.

Bojcy zaczęli strzelać z samochodu, a oficer wyskoczył z szoferki i z pistoletem w ręku zaczął mnie gonić. Wpadł w linię strzału żołnierzy, którzy bojąc się o życie oficera nie mogli strzelać. Na ich krzyk padł na ziemię i żołnierze powtórnie otworzyli ogień. Biegłem dalej i dalej, nie zważając że w bucie coś chlupie. Byłem pewny, że to woda, okazało się później że była to krew. W pewnym momencie potknąłem się. Straciłem przytomność.

Obudzono mnie tłukąc kolbą karabinu po plecach. Nademną stali bojcy ze specjalnie sprowadzonym psem, który wytropił mnie idąc po śladach.

W Białymstoku wrzucono mnie do celi 93 mieszczącej się w piwnicach, jako szczególnie niebezpiecznego aresztanta. Cella duża, bez szyb w oknie. Mimo to zduch i straszny smród z przepełnionej "paraszki" /więziennego kibla/. Niesamowita ciasnota. Spaliśmy pokotem na posadzce na jednym boku, a gdy któregoś zabolał bok brzdził wszystkich

by odwrócili się na bok. Rano wywołał mnie "korpuśny" na korytarz, gdzie siostra zrobiła mi opatrunk. Rana była dość obazerna, ale kość nie naruszona.

W Szepietowie popegnałem się z pluskwami i pchłami, tu zaś obkoczyły mnie wszy i to jakieś rasowe, bo wielkie jak ziarnka żyta. Siedzieli ze mną Lalaszewski z Grabowca, Żoch z Sielca, Kazio Chłód z Bodączek, Witoszko z Zaminowa i wielu innych, którzy całymi dniami tąpili wszy, ale ich nigdy nie ubywało.

Przeskuchania odbywały się tylko w nocy, nigdy w dzień. Przychodził do celi "korpuśny", budził wszystkich i pytał kto jest na "bukwa" tj na literę taką a taką, wówczas bardzo wolno odzywał się ktoś na tę literę. Jeśli "korpuśny" usłyszał podobne brzmienie o które mu chodzi zabierał delikwenta i prowadził na badanie. Bardzo często przyprowadzał go spowrotem, gdyż nie był to ten o którego chodziło. O jedzeniu nie będę pisał, bo i tak nikt nie uwierzy, że przy takim wyżywieniu można wyżyć. A jednak można, bośmy wyżyli.

Nie zmogły nas brud, pluskwy i wszy, ani też sowieci. Byliśmy odizolowani od społeczeństwa i rodzin, nie wiedząc co się z nimi dzieje, a mimo to wytrwaliśmy.

Wczesną wiosną 1941 roku załadowano nas w kolejowe wagony towarowe i wywieziono w nieznaną dal. Na drogę wyfasowano nam bardzo słone, suszone małe rybki, nie dając zupełnie wody do picia. Nie pomogły żadne prośby ani krayki, przez całą podróż nie było dla nas wody.

Zawieziono nas do Brześcia<sup>n</sup>/B i ułokowano w nowym więzieniu nad Muchawcem. Znalazłem się w celi nr 42 wraz z innymi dwudziestu "zakluczonymi". W porównaniu z więzieniem białostockim panował tu luksus. Duże weneckie okna, prycze na długości ściany bocznej, czysto. Jedzenie też o wiele lepsze. Ci co mieli pieniądze mogli robić "wypiski", takie jak chleb, papierosy, oczywiście w ograniczonej ilości. Niewielu jednak aresztantów posiadało pieniądze. Ja dostawałem papierosy od zaprzyjaźnionego Józka Uściłki, rzeźnika z Białegosto-



ku. Bardzo trudno było o papier, więc robiliśmy fajki z chleba, które po pewnym czasie nasiąkały nikotyną i kiedy nie było co palić a znalazł się papier, kruszyliśmy fajkę i paliliśmy te okruchy. Wiadomości z zewnątrz przekazywały nam sprzętażki, których było dwie. Będąc blisko celi drzwi rozmawiały ze sobą i w tę rozmowę zawsze wplatały jakąś wiadomość, którą więziennym szyfrem przekazywaliśmy do innych cel.

Co wieczór odbywała się "prowierka", sprawdzanie czy któryś z nas nie uciszył. Doiechka była niemożliwa, w oknach silne kraty, drzwi obite blachą, na korytarzu strażnicy, więzienie otoczone grubym i wysokim murem, a na nim tłuczone szkło i drut kolczasty, na rogach wieże strażnicze ze strażnikami uzbrojonymi w karabiny maszynowe. Jeśli naprzeciw prowadzonego na badanie więźnia szedł inny więzień, to jednego z nich obracano twarzą do ściany dopóki drugi nie przeszedł. Więźniowie mieli pozostać nierozpoznani. I tak doczekaliśmy 22 czerwca 1941 roku.

Nad ranem dnia 22. czerwca obudził nas huk rozrywających się pocisków artyleryjskich. Początkowo myśleliśmy że to ćwiczenia. Wyglądając przez rozbite okno widzieliśmy na wieży strażniczej zwisające przez barierkę ciało bojca, a obok niego milczący karabin maszynowy. A więc Niemcy uderzyli na swych sojuszników Rosjan.

Ustaje tupot nóg na korytarzu. Nawała ognia przesuwana się bardziej w prawo. Po pewnym czasie słychać huk i koskot w celach. Zaczynamy krzyczeć, rozbierać prycze i walić w drzwi. Ale drzwi nie ustępują. Koledzy, którym udało się wyważyć wcześniej swoje drzwi przyszli nam z pomocą z zewnątrz. Jesteśmy wolni!

Zaczęli się witać znajomi, którzy nie o sobie nie wiedzieli, nie tylko że byli w tym samym więzieniu, ale nawet nie wiedzieli, że byli aresztowani.

Było nas czterech, zżytych z sobą w celi 42 przyjaciół. Postanowiliśmy nie rozłączać się i wspólnie wędrować do Białegostoku. Mnie to bardzo odpowiadało, bo droga do Białegostoku prowadziła

obok moich stron rodzinnych.

I tak ja, Józef Uściłko, Eugeniusz Szumski, obaj z Białegostoku i Bolesław Pasek gdzieś od Kowla ruszyliśmy do miasta.

Szosa waliły kolumny wojsk niemieckich, tak że trudno było przejść przez drogę. W końcu udało się nam przedostać do miasta. W mieście samochody sowieckie załadowane oficerami jeżdżą tam i spowrotem i nie mogą przedostać się przez oddziały niemieckie, maszerujące szosami. Środkiem dróg waliły kolumny niemieckie, a poboczem szli sowieci nie zwracając nawzajem na siebie uwagi, a wszyscy dążyli na wschód.

Obraliśmy inny kierunek drogi....

...Podczas akcji "Burza" już jako por. dowodziłem 2 kompanią I batalionu 2-go pułku ułanów spieszonych....

W końcu sierpnia 1944 roku z rozkazu dowództwa AK wstąpiłem do organizującej się Milicji Obywatelskiej i zostałem mianowany komendantem MO w Boćkach. Miałem sam utworzyć posterunek, sam zdobyć broń i zaopatrzenie.

Na posterunek zająłem pomieszczenie dawnej żandarmerii niemieckiej. Posterunkowi byli to chłopcy z AK, którzy jednocześnie unikali poboru do ludowego wojska.

Żołnierze sowieccy byli wszędzie, nakładali kontyngenty, kradli. Starłem się do tego niedopuszczyć. Złapanych na kradzieży żołnierzy rozbijałem, zachowując broń dla siebie, odsyłając rabusiów do komendy miasta w Bielsku Podlaskim. Wkrótce i Boćki otrzymały swego komendanta miasta w stopniu st. lejtenanta. Od początku był do mnie źle nastawiony. Żądał kontyngentów dla wojska, tolerował zbrodziejstwo. Złoczność konspiracyjna z terenem była szczególnie utrudniona, z powodu na ścisłą penetrację terenu przez NKWD, w czym pomagała miejscowa ludność białoruska.

W początkach października wezwał mnie do siebie komendant miasta. Gdy wszedłem siedział za biurkiem przy rozłożonych palerach, a przy drzwiach stała gromadka "bojców". Podszedłem do biurka i na-



chyliłem się nad papierami. Wtem usłyszałem krzyk: "bieri jewo", a na moich plecach znaleźli się bojey.

Rozbrojono mnie, zabrano pas, koalicijkę i zaprowadzono do milicyjnego aresztu, gdzie była już straż NKWD. Pod wieczór była już nas spora gromadka aresztowanych, którą załadowano na samochód ciężarowy i wywieziono do aresztu Urzędu Bezpieczeństwa w Bielsku. Areszt mieścił się w dawnych celach zakonnych przy kościele karmelickim.

Na drugi dzień wieczorem zabrano mnie na przesłuchanie - "dopros", które trwało całą noc. Badanie prowadziło trzech oficerów UB w asyście oficera NKWD. Pamiętam, że jeden z nich nazywał się Wieprzowski, drugim był miejscowy - Burdziej, wszyscy trzej pijani. Pod drzwiami postawili dziewczyny z placówki "Bug": "Ładkowską", "Konwalię" i "Dianę", mówiąc im, że dostaną tak jak ich komendant jeśli się nie przyznają do AK. Wiedzieli wszystko o naszej placówce ale ja się nie przyznawałem, będąc pewny, że będą p-tać dalej i pądać wydania członków konspiracji, o których jeszcze nie wiedzieli. Mieli wprawę w badaniach, wiedzieli jak uderzać aby zwalić z nóg. Nie bił mnie tylko mieszkaniec Bielska - Burdziej. Strażnik cały czas donosił wodę, którą polewano mnie gdy traciłem przytomność. Rano zbitego, zmaltratowanego, nie mogącego iść o własnych siłach zawleczono do celi. Co parę dni ładowano aresztantów na samochody i wywieziono do więzienia w Białymstoku. Wiedziałem, że i na mnie przyszedł czas, gdyż zabrano mi płaszcz i mundur, a dano jakieś łachy cywilne.

W Białymstoku nie siedziałem długo. Listopadową nocą zawieziono nas na dworzec kolejowy i załadowano do wagonów bydłowych. Jak się później dowiedziałem grupa bojeów wczesnym rankiem chodziła po torach i zbierała kartki papieru wyrzucone przez aresztantów aby nikt się nie dowiedział o ich losie. W wagonie było bardzo ciasno, ale przynajmniej cieplej niż w celi i między swymi, którzy ogrzewali mnie jak mogli.

W moim wagonie jechali: kpt. Mieczysław Ciepłucha, "Józef", Paweł Morzy, "Łyto", Walendziak, ps. "Wolny", Karolczak z Jakubowskich i wielu innych. Wody nam nie dawano, więc lizaliśmy metalowe nity, na których zbierał się szron w czasie mroźnych nocy.

Po długiej, długiej podróży dotarliśmy do celu, którym był Ostaszów. Wyładowano nas z wagonów i poszto formować kolumnę liczącą około dwa tysiące ludzi. Właśnie na rampie kolejowej otrzymałem od kolegi beret do nakrycia głowy, gdyż mroz tam panował tęgi. Obóz oddalony od stacji o cztery kilometry przedstawiał olbrzymi teren ogrodzony wysokimi drutami kolczastymi drutami, a na nim znajdowały się drewniane baraki.

Pierwszy barak zajęły kobiety, a ja dostałem się do drugiego baraku, którego komendantem został i s-ca k-dta obwołu Bielak Mieczysław Ciepłucha. I znów trafiłem z deszczu pod rytmę. Ci co byli z Armii/Krajowej wielowzględny spokój. Ja nie przyznałem się do przynależności do Ak, a więc musiałem wg. NKWD służyć Niemcom. Szczęściem większość mieszkańców baraku znała mnie dobrze.

Pewnego razu zaprowadzono mnie na przesłuchanie, gdzie oficer NKWD zadawał mi pytania, na które odpowiadałem negatywnie, wszystkiemu zaprzeczałem. Zdenerwowało to śledczego do tego stopnia, że z serią wywisk, niegodnych powtórzeń, skoczył do mnie wyjmując naganę i uderzył w szczękę tak mocno, że wypłułem dwa zęby.

Gdy się trochę uspokoił, okazało się, że to nie ja jestem tym, którego miał przesłuchiwać. Przez niedbalstwo NKWD-isty straciłem dwa zęby, a następne dwa były naruszone i bolały.

Warunki bytowe w łagrze były okropne. Mako tego, że obierki z ziemniaków były luksusem, to jeszcze żyć nie dawały narodowe owoce ZSRR - pluskwy. Byłem przyzwyczajony do karmienia wszy, pluskiew i pcheł polskich, ale te były o wiele bardziej dokuczliwe.

Wiosną następnego roku zostałem wyznaczony do transportu, który skierowany został do Diagilewa koło Riazania. Był to "spec-łagier". Warunki w nim były nieco lepsze, bo też i "kuracjusze" byli inni,



przeważnie oficerowie.

Była też i grupa szugusów sowieckich, okupujących funkcje obc-  
zowe dające lepsze warunki bytowe /okazję do nadużyć na szkodę  
współwięźniów/.

Pamiętam przedstawienie zorganizowane przez niejakiego Rybickiego,  
w którym partyzant przychodzi do domu, a matka mówi do niego z płę-  
czem - uciekaj synku, uciekaj, bo jak przyjdzie twój brat, ten ban-  
dyta z AK to cię zabije! Co się potem działo na sali trudno opisać!

Za parę dni przychodzi do mego baraku Rybicki. Zdenerwowałem  
się i spuściłem mu tęgą lanie, tak że się ledwie pozbiierał i poszedł  
do swoich chlebobdawców z donosem że połamane mu zebra, co było  
oczywistą nieprawdą. Zaraz też przyszli bojcy i zabrali mnie osa-  
dzając w karcerze. Była sroga zima, a bunkier nieopalany. Nie wiem  
jak przetrzymałem te kilka dni o głodzie i w takim zimnie. Wyciąg-  
nięto mnie z bunkra złamanej wpół, z okropnymi bólami przy wypróż-  
nieniach. Zabrano mnie na izbę chorych, gdzie lekarzem był dr. "WA-  
nio", Alfred Paczkowski z Warszawy. Naczelniczka izby chciała przewie-  
zić mnie do szpitala gdzie były lepsze warunki do leczenia, lecz  
MKWD nie wyraziło zgody, "puskaj zdieś podychajet". Bóle były tak  
straszne, że po wypróżnieniu razem z płynem wlewano mi środki prze-  
ciwbólowe, które częściowo łagodziły ból. Wszyscy byli pewni, że  
nie wyżyję i użyciemię ziemię sowiecką.

W tym czasie do ucieczki przygotowywali się: Czesław Grzybowski  
"Chłop", Ryszard Reiff "Jacek", Konrad Wasilewski. Przyszli do  
mnie z prośbą abym dał im swój sweter, mnie już nie potrzebny, a im  
przyda się w podróży, na co wyraziłem zgodę. A miałem bardzo ładny  
nowy sweter zrobiony mi na imieniny przez dziewczęta z WSK /wojsko-  
wej służby kobiet/. Jak się później okazało sprzedali go na bazarze  
i za te pieniądze kupili bilety kolejowe, które umożliwiły im pow-  
rót do Polski.

Po dłuższym pobycie na izbie chorych, mimo że już byłem spisany na  
straty, powoli zacząłem przychodzić do zdrowia.

Obok mnie na izbie chorych leżeli: Magdowski, Radziszewski, a dalej senator Osipiński, inż. Żardecki ze Lwowa, ks. Kiernicki.

Wyżywienie atryasznie się pogorszyło. Gotowano wyłącznie trawę skoszoną na łące. Jednego dnia rozwieszono kartki w latrynie informowały, że jak mamy czekać na Katyń, to lepiej zdechnąć - głodujemy.

NKWD zostało zaskoczony taką sytuacją, gdyż u nich obowiązywał bezwzględny posłuch. Postanowiono zlikwidować bunt w zarodku. Wywieziono więc generałów, potem wyższych oficerów, a następnie bardziej energicznych krzykaczy, między którymi i ja się znalazłem. Nic to nie pomogło, głodówka trwała, a my w więzieniu również głodowaliśmy. Zjechał z Moskwy Związek Patriotów Polskich, lecz nie było siły na przerwanie głodówki. Po tygodniu przyrzeczono nam, że jak przerwiemy głodówkę odstawią nas do Polski. My w więzieniu nie wierzyliśmy, że głodówka została przerwana, wydelegowano więc płk. Czerwińskiego by zbadał sprawę na miejscu.

W wyniku przerwania głodówki odstawiono nas spowrotem do Łagmu, gdzie poczęto dzielić nas na grupy wyjazdowe do Polski. Wieczorem grupę, w której się znalazłem załadowano do pociągu towarowego. Wszyscy byliśmy szczególnie ucieszeni, że oto wracamy do kraju. Rankiem pierzeła nasza radość. Przez szczeliny w wagonie widzimy, że słońce jest przed lokomotywą, a więc i tym razem zostaliśmy oszukani!

Wyładowano nas w Jozskar-Oła, stolicy republiki Maryjskiej. Następnie załadowano na samochody i po całodziennej podróży lasem przybyliśmy na miejsce przeznaczenia. Były to małe wykopane w ziemi t.zw. "ziemlanki", otoczone kilkoma rzędami bardzo wysokich drutów kolczastych. Opinia, jaką przekazano o nas miejscowemu komendantowi była szczególna - Polak związany w worku też potrafi z niego uciec. Trzeba więc go dobrze strzec. W wyniku takiej opinii bojcy nie zbliżali się do nas na bezpośrednią odległość. Zawsze byli w pogotowiu.

I właśnie tam, karmiąc obficie pluskwy doczekaliśmy się jesieni



1947 roku i wyjazdu do kraju.

Załadowano nas do wagonów towarowych, t.zw. "bydlęcych", z tym że mnie do specjalnego wagonu, w którym byli zgrupowani ludzie o twardym kręgosłupie i donośnym głosie, którzy nie zginali karku przed NKWD. Wagon ten był w środku składu pociągu, obstawiony bronią maszynową, zapewne w obawie abyśmy nie pozostali na "gościńskiej" sowieckiej ziemi.

Jechaliśmy bardzo długo, gdyż nie zawsze był węgiel i często stawaliśmy w lesie aby zaopatrzyć się w paliwo do kotła, które "błagonadionni" wyrąbывali z nieprzebytych paszoz.

Z wielkim trudem dowlekliśmy się do Brześcia <sup>n</sup>/B i tu znów ułokowano nas w byle jakich barakach dla odbycia kwarantanny.

W końcu listopada odwieziono nas do Białej Podlaskiej, gdzie odbyła się rejestracja, wydawanie dokumentów i nareszcie dotarła do nas tak oczekiwana i upragniona wolność.

Wróciłem do wsi Rudka, gdzie po przeszało 6 latach spotkałem matkę i siostry. Byłem już stary, bo 34 lata po tych wszystkich przejściach, więzieniach, obozach to już bardzo wiele. Należało podreperować nadszarpnięte zdrowie. Chciałem też założyć rodzinę, ale czy było to realne? Pozostawałem bez środków do życia, a możliwości startu "zapłutego karła reakcji" w owych czasach były żadne.

Trasałem się więc po rozmaitych budowach od Wybrzeża po Tatry.

Nie mniej w lipcu 1948 roku wstąpiłem w związek małżeński z "Konwalią" członkinią WSK /Wojskowej Służby Kobiet/ placówki "Bug".

Wykazała ona dużą dozę odwagi i hartu decydując się na to małżeństwo, na wspólną tułaczkę. Domem naszym stały się różnego rodzaju barakowozy. Oboje byliśmy zahartowani w sowieckich łagrach, gorszej było z dziećmi, których mieliśmy troje.

Wreszcie barak, w którym mieszkaliśmy na przedmieściu Krakowa w roku 1960 rozwalił się, skutkiem czego otrzymaliśmy mieszkanie kwaterunkowe w bloku, gdzie mieszkamy do dnia dzisiejszego.

Jakie jest moje samopoczucie w tej wolnej, niepodległej  
Polsce, Polsce, dla której położyłem na szalę swe młode życie le-  
piej nie rozważajny. To boli!

Kraków, luty 1989